

Śmiech — towar reglamentowany

ZE sztuką rozrywkową sprawa jest poważniejsza niż ze sztuką poważną. Śmiech w dzisiejszych czasach stał się towarem najbardziej reglamentowanym — jakby powiedzieli handlowcy. Zdziwiająca zgodność w tej materii wykazują zarówno film, jak i teatr, teatr muzyczny czy estrada. Słowem, nie ma z czego się śmiać. Problemu tego nie rozwiążą jednak sami artyści sceniczni i scenarzyści.

Najgorzej jest z teatrami komediowymi — dramatycznymi. Lono naszej współczesnej dramaturgii, które pod względem płodzenia sztuk przez duże „S” przypomina płodność stoni, okazuje się prawie zupełnie bezpłodne, jeśli mowa o sztukach rozrywkowych. Wydawałoby się, że ta dramaturgia — nazwijmy ją: użytkowa, stosowana — nie wymaga od sprawcy wiele, trochę zręczności warsztatowej, nieco bieżących obserwacji obyczajowych, minimum znajomości teatru. Oczywiście, na ogół tego typu dramaturgia do annałów repertuaru nie wchodzi, choć i z tym różnie bywa, ale swoim współczesnym dostarcza rozrywki. Daje okazję do śmiechu, a nie rechotu. W dwudziestolecie takich mniej lub bardziej uszlachetnionych kontynuatorów dawnej komedii bulwarowej nie brakowało.

Przyczyny obecnego stanu rzeczy są różnorodne, znane nie od dziś. W każdym bądź razie sytuacja dyrektorów takich teatrów, jak np. warszawskiej „Komedii”, nie jest do pozazdroszczenia. Usiłowania tego teatru, aby rozśmieszyć widownię, dawały mierne rezultaty. Wybierając się na premierę „Klubu kawalerów” Bałuckiego, myślałem, że i tym razem będzie podobnie. Tymczasem rzeczywistość sceniczna okazała się odwrotnie proporcjonalna do przewidywań.

Bałucki. Kiedy słyszy się to nazwisko w połączeniu z tytułami najpopularniejszych sztuk, jak np. „Grube ryby”, wzrusza się ramionami. Tymczasem premiera w „Komedii” pokazała, jak zresztą każda dobra realizacja, że jest to niesłuszne. Komedio pisarzowi temu niedźwiedzia przysługę wyrządziła popularność jego własnego dzieła. Jest to paradoks smutny, ale prawdziwy. Bałuckiego bowiem zabiły setki złych realizacji. Przecież każdy początkujący teatr amatorski od niego na ogół zaczyna, jego też sztukami, jako samograjami, usiłuje zakryć nieudolność kiepski teatr prowincjonalny.

Tymczasem właśnie Bałucki jest najlepszym przykładem uszlachetnienia, jakie można osiągnąć, uprawiając sztukę z założenia popularną. Jego repertuar bawi publiczność od około stu lat. A próba czasu jest najlepszym miernikiem jakości.

Głównym atutem żoliborskiej wersji Bałuckiego jest świeżość pomysłów. Irena Górska — inscenizacja i reżyseria, Adam Markiewicz — muzyka oraz Krystyna Wodnicka — teksty piosenek zrobili z „Klubu kawalerów” znakomity musical — gatunek chyba najtrudniejszy dla wykonawców we współczesnej sztuce rozrywkowej, a zarazem cieszący się największym powodzeniem u publiczności. Cała trójka okazała wielką wrażliwość stylistyczną, umiejętność wydobywania wszelkich uroków fin de siècle'u. Jest to walor szczególnie cenny w okresie mody retro. Z tym, że było to tym razem retro na wesoło. Nic dziwnego, komedia Bałuckiego dawała znakomitą okazję. Ten ton zabawy w retro znakomicie podchwyciła Barbara Bittnerówna — choreografia — oraz cały zespół aktorski. Dzięki temu powstało znakomite widowisko, którym aktorki bawią się równie dobrze jak publiczność. Śpiew i taniec zaaranżowane są tak, aby pojawiały się spontanicznie, nie były oderwane od akcji scenicznej. Szybkie tempo idzie o lepsze z precyzją. Urocze są zwłaszcza momenty parodiowania starej konwencji operetkowej w wykonaniu Leonarda Pietraszka. Ten aktor najbardziej z całego bardzo dobrego zespołu aktorskiego zadziwia. Wdzieliśmy go na małym i dużym ekranie w rolach mniej lub bardziej bohaterkich, dramatycznych. W żoliborskim „Klubie kawalerów” ukazuje się jako znakomity wodewillista.

Miarą jakości całego zespołu aktorskiego może być fakt, iż rzadko na naszych scenach widzi się tak doskonałą realizację głównego prawa nowoczesnego musicalu — zatarcia różnic między aktorem mówiącym tekst, śpiewakiem i tancerzem. Uniknięto przeszarżowania — grzechu numer jeden grających repertuar Bałuckiego. A wszystko się działo w bardzo dowcipnych dekoracjach Stanisława Bąkowskiego, który też zaprojektował bardzo stylowe, dodające uroku wykonawcom, a nie przeszkadzające, kostiumy.

„Klub kawalerów” w „Komedii” jest najlepszym dowodem, że nasze teatry stać na sztukę rozrywkową najwyższego lotu, że możemy uniknąć rozrywkowej nudy i szmyry.

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI

Michał Bałucki: „Klub Kawalerów”, Teatr „Komedia”, Warszawa; w rolach głównych: Irena Kownas — Dziudziulińska, Jadwiga Hodorska — Mirska, Jolanta Russek — Marynia, Hanna Orsztynowicz — Ochotnicka, Barbara Bargielowska — Kasia, Tadeusz Cygler — Sobieniowski, Witold Kałuski — Wygodnicki, Bogdan Niewlnowski — Nieśmiałowski, Zdzisław Słowiński — Motyliński, Leonard Pietraszak — Piorunowicz, Janusz Leśniewski — Topolnicki, Tadeusz Somogi — Ignacy.